

pożegnania z mentalnością *homo sovieticus* i powitania z mentalnością autentycznego *homo democraticus*.

Jan Hartman

### Arbitralność rozumu vs. arbitralność *widzimisię* (Trzecia wojna niemiecko-amerykańska)

Wokół zagadnienia arbitralności i apodyktyczności wypowiedzi, pretendujących do słuszności na gruncie naukowej czy filozoficznej dyskusji, panuje wiele nieporozumień. Wynikają one zazwyczaj stąd, że pozostawia się poza zasięgiem poważniejszego namysłu, a zarazem pozostawia potocznym wyobrażeniom funkcję racjonalną apodyktycznej asercji, autorytetu oraz — z drugiej strony — wahania, hipotetyczności, rezerwy w stosunku do własnych wypowiedzi.

Gdyby zebrać w jedno to wszystko, co na gruncie ogólnego historycznego dorobku filozofii oraz poszczególnych koncepcji i dyscyplin (jak logika filozoficzna, semiotyka, teoria dyskursu i komunikacji czy metodologia nauk) wiadomo o tych sprawach, to z pewnością nie mielibyśmy poczucia, że są to zagadnienia mało znane i mało przemyślane. Rzecz w tym, że powszechna kultura intelektualna nie przejmuje wiele z tego na własność, pozwalając tylko na szerzenie się zaczerpniętych z kilku różnych tradycji modernistycznych (jak hermeneutyka czy pragmatyzm), a następnie odpowiednio spłaszczonych — do postaci małych *bon mots* — mniej czy bardziej trafnych wskazówek.

Nie stawiam sobie tutaj za cel systematycznego i historycznego przeglądu tego, co rzeczywiście (i to dość apodyktycznie) udało się rozumowi ustalić w kwestii tego, na ile pewność lub niepewność siebie powinna być w różnych okolicznościach jego udziałem, lecz za to przytoczę i skomentuję kilka szczególnie dotkliwych przykładów bałamutnych wyobrażeń w tej dziedzinie, pokutujących w naszym codziennym życiu umysłowym, nie wyłączając z tego, niestety, uniwersyteckich filozofów. Jako że wielu takim wyobrażeniom przypisane są popularne sentencjonalne zwroty czy komunały, swoje memorandum lub przyczynek do kultury heurystycznej, którym ma być ta krótka wypowiedź, podzielę na odcinki zatytułowane właśnie takimi kliszami.

#### 1. Nauka opiera się na rozumie, a nie na autorytecie

Niewiele wyobrażeń dotyczących tego, czym jest poznanie naukowe, cieszy się taką popularnością, jak to, że uczony polega na swych zmysłach i rozumie, nie oglądając się na autorytety, skoro dowody wskazują na co innego niż one by sobie życzyły. Autonomia rozumu, krytycyzm, poleganie na doświadczeniu empirycznym i rzetelnej obserwacji, wolność nauki, etos uczonego, równość wszyst-

kich wobec prawdy, niezaprzeczalność faktów — to niektóre tylko pojęcia oraz postulaty ideologiczne, które kojarzyć się mogą z tytułowym zwrotem, nadając mu szczególną wzniosłość. Można powiedzieć wręcz, iż streszcza on w sobie to, co najlepsze w tradycji walki postępowych sił świata nauki z wszelką reakcją i dogmatyzmem — od renesansu, poprzez oświecenie, aż po nowoczesny pozytywizm. I rzeczywiście, to z czasów waśni nowych uczonych ze scholastykami (fizykami-arystotelikami oraz teologami) w pierwszych stuleciach nowożytności, kiedy to wskazywano (i słusznie) na balast niewzruszonej powagi autorytetów naukowych i teologicznych jako przyczynę zaślepienia i odmowy przyjęcia do wiadomości przez uniwersytety oczywistych korekt dawnych wyobrażeń, pochodzi owa tak uświęcona zbitka pojęć: racjonalność–gotowość negacji autorytetów.

Nie zamierzam oczywiście postponować szczytnych ideałów naukowego krytycyzmu, odwagi sądu itd. Chcę tylko przypomnieć, że zbyt do nich zapał może odwieść nas — i często tak się dzieje — od jasności co do tego, iż wszelka racjonalność w sposób niepozbywalny wiąże się z uznawaniem autorytetu.

Scholastyka miała pewnie wiele wad wynikających z monumentalizmu i uniwersalizmu kultury naukowej, którą urzeczywistniała, ale nie można odmówić jej dbałości o utrzymywanie wysokich standardów warsztatu naukowego. W przeciwieństwie do skromnych raczej (przynajmniej w humanistyce i filozofii) wymagań współczesnych, do ogłoszenia swej wypowiedzi na gruncie akademickim nie wystarczało bynajmniej to, że miało się coś ciekawego do powiedzenia. Trzeba było mieć jasną tezę oraz porządne argumenty na jej rzecz, kontrargumenty w stosunku do tezy przeciwnej, a ponadto trzeba było umieć osadzić swoją tezę w kontekście dotychczasowej wiedzy — powiązać ją z tym, co już wcześniej zostało uznane za słuszne (choć niekoniecznie niepodważalne!). Inaczej mówiąc, nie wystarczało, że coś się wymyśliło i uzasadniło, ale trzeba było wykazać, że za daną tezę stoi jakiś autorytet, dzięki któremu jest ona w ogóle jakąś istotną wypowiedzią.

Te scholastyczne wymagania pokazują, że nauka nie obywa się i nie chce się obywać bez tego, że coś w niej jest uznane, szanowane, ustalone. Wręcz nie czego innego pragnie, jak tego, aby to czy owo ustalać. A to, co ustalone, cieszy się autorytetem, to znaczy tym szczególnym prawem, iż można się na to powoływać bez każdorazowego rekonstruowania pełnego i aktualnego uzasadnienia dla takiej autorytatywnej tezy. Nie oznacza to oczywiście absolutnej obowiązowności i niepodważalności, ale właśnie tyle tylko, że *onus probandi* w stosunku do pewnych uznanych tez obciąża nie tych, którzy powołując się na nie odrzucają sprzeczne z nimi nowe hipotezy, lecz tych, którzy odrzucają owe uznane tezy.

Postulat względnej trwałości rezultatu kolektywnego wysiłku intelektualnego (a jest nim nauka) jest definicyjny dla samej racjonalności i nie trzeba go specjalnie uzasadniać. Należy natomiast uświadomić sobie, że jego realizacja wymaga w obrębie środowisk naukowych więzi (względnej) zaufania do cudzych czynności naukotwórczych jako najprawdopodobniej prawidłowo przeprowadzonych oraz zaufania do cudzych kompetencji moralnych (dobrej wiary i prawdomów-

ności). Ponadto wymaga też zaufania do krytycyzmu innych uczestników nauki, a mianowicie do ich zdolności odróżniania autorytatywnych od nieprawych źródeł wiedzy.

Nie można sobie wyobrazić nauki bez tej racjonalnej struktury zaufania. Gdyby nie ona, gdyby nie autorytet, uznanie powagi intelektualnej innych uczonych, każda wypowiedź musiałaby być poparta uzasadnieniem źródłowym, a takie uzasadnienia uczeni, jeśli w ogóle kiedykolwiek mogą dostarczać, to jedynie w odniesieniu do bardzo niewielkich fragmentów posiadanej przez siebie wiedzy. Ilu historyków wie na podstawie źródeł, że miała miejsce rewolucja francuska; ilu astronomów wie źródłowo, że Ziemia krąży wokół Słońca?

Wykluczanie autorytetu z nauki w imię jakiegoś naiwnego pojęcia naukowości przypomina irytujące zachowanie kogoś, kto zgadza się dyskutować z kimś innym, lecz tak dalece pogardza jego kompetencjami intelektualnymi i moralnymi, że ilekroć ten coś twierdzi, pytać go będzie „a skąd to wiesz”? I w życiu codziennym, i w dyskusji naukowej radzę odpowiadać na to: „nie pamiętam, lecz zapewne, skoro to wiem z całą pewnością, musiałem się tego dowiedzieć z równie pewnego źródła, jak to, z którego wiadomo mi z wielką przecież pewnością, jak się nazywam; a to ostatnie wiem bodajże od mamy”. Inaczej mówiąc — na to uczeni są mądrzy, abyśmy ufali im, że jak coś wiedzą, to, swego czasu, umieli ocenić wiarygodność źródła swej wiedzy. A prawie zawsze wiarygodność źródła wiedzy opiera się na autorytecie (np. wykładowcy czy autora podręcznika).

Logika odrzucania autorytetu jest analogiczna do logiki odrzucania tzw. przesądu. Przesąd bowiem, to jakby przekonanie autorytatywne, z zasady — właśnie jako autorytatywne — pozbawione prawdziwej racjonalnej legitymacji. Dlatego przesąd trzeba poddać procesowi racjonalizacji, przeprowadzić ze stanu bezkrytycznie powtarzanego mniemania do stanu świadome i krytycznie przyjętej tezy naukowej. Oczywiście, ta ostatnia zazwyczaj będzie bardzo różnić się od mniemania wyjściowego. Wielbiciele oświeceniowej baśni o przesądnym starym świecie i wolnym od przesądów nowym świecie (wyzwolonym, naukowym, racjonalnym) wiedzą zazwyczaj, że baśnie mają to do siebie, że nie mówią o naszym świecie, zadbali więc dziś o to, żeby wstawiając kreskę w słowie *Vorurteil* ze złego przesądu uczynić dobry, niezbywalny, strukturalnie konieczny przed-sąd, którego ani nie możemy, ani nie chcemy już się pozbyć. Dialektyka przed-sądów, zastępujących je sądów będących przed-sądami dla kolejnych sądów itd., dialektyka, w której zakapturzony średniowieczny mnich i zblazowany modernista mają zagwarantowane prawo do szacunku jako niezbywalne jej członki, ma zastąpić niesmacznie triumfalistyczny pochod naszych przodków sprzed stu lat ku pełnemu oświeceniu, idący po trupach wszelkiej ciemnoty i zabobonu.

Te złośliwości w stosunku do hermeneutyki, na które (tytułem dygresji) sobie tu pozwoliłem, w istocie eksponują nie co innego, jak to, że myśl heremenutyczna stara się coś robić z przesądem o przesądnych przesądach i przesądnie uznawa-

nych autorytetach. Tym samym jest mi, na tym odcinku przynajmniej, z hermeneutami po drodze.

## 2. Każdy ma prawo do własnego zdania

Chyba nie ma bardziej uprzykrzonego wypaczenia szlachetnej zasady życia intelektualnego, niż to, co kryje się za tą bałamutną sentencją. Jej prawda (stłamszona przez jakże nieporadne sformułowanie) jest wzniosła: do poznania prawdy powołany jest pospół i z osobna każdy ludzki umysł i każdy, najskromniejszy nawet człowiek, który prawdę zna i zna jej uzasadnienie, jest upoważniony, aby prawdę tę i to uzasadnienie ogłosić. Sentencja wszelako używana jest w znaczeniu niemalże przeciwnym: każdy może się mylić, każdy powiada właściwe tylko to, co sądzi, co mu się wydaje, co mu się podoba, co udało mu się wymyślić; i tezy, i ich uzasadnienia to tylko pewne mniej czy bardziej zborne wymysły; takie wymysły tworzyć może każdy i każdy ma do tego pełne prawo; dlatego wszystkie opinie są w gruncie rzeczy równouprawnione, a kto i dlaczego którą z nich uzna, to jest jego sprawa.

Tragiczny rozstrój pojęć racjonalnych, jaki kryje się za takimi wyobrażeniami, domaga się interwencji, która nie może być po prostu perswazją, lecz także oddziaływaniem wychowawczym. „Gadaj zdrow, ja swoje wiem”, to bowiem nie tylko przejaw słabej kondycji racjonalnej, ale coś więcej — wyraz pogardy dla osoby ludzkiej i jej roszczeń do prawdy i sprawiedliwości. Dlatego opisane tu nadużycie ma charakter występku i musi być zwalczane tak jak inne formy występnej mowy — kłamstwo, oszczerstwo, pomówienie, obmowa.

Z osławionym „prawem do własnego zdania” wiąże się uporczywy nihilizm, a co najmniej dezynwoltura oświeceniowych formacji myśli humanistycznej, jak historycyzm, emotywizm czy estetyzm. To XIX-wieczne maniery filologów i historyków, którzy poprawiali sobie samopoczucie strojąc się w piórka dziejowych konserwatorów, recenzentów, a w najlepszym razie kolekcjonerów osobliwości: tych rozlicznych dziwacznych mniemań i wyobrażeń, które przytrafiło się ludziom z różnych (jakże godnych wyjaśnienia względami klimatu itp.!) powodów nabyć — maniery te więc odpowiadają za kwietyzm, nihilizm i zwykłą przemądrzałość wielkich obszarów humanistyki. Do dziś nie brakuje takich, którzy wyobrażają sobie, że historia filozofii to galeria dowolnych poglądów, jakie w przeszłości żywiono, że psychologia to nauka tłumacząca, co tak naprawdę powoduje ludźmi (wbrew temu, co deklarują), a — dajmy na to — socjologia to ekspercja w zakresie mechanizmów rządzących zachowaniami masowymi. Pooświeceniowy i postpozytywistyczny nastrój przemądrzałości lub (w innej wersji) nihilizmu pokutuje jeszcze na uniwersytetach, choć i tutaj w sukurs idzie łagodzący te nieprzyjemne efekty dyskurs hermeneutyczny, przetwarzający zarozumiałą taksonomię idei w pełne pietyzmu dla przeszłości misterium rozumienia.

Z uczuciem zażenowania uświadamiam sobie nieustanną potrzebę przypominania czysto spekulatywnych, apriorycznych okoliczności, których oczywistość gubi

się w modernistycznej mentalności rzekomej emancypacji rozumu na drodze nihilizmu, sceptycyzmu, ironizmu i innych manier umysłowości leniwej i zepsutej.

Rozum żyje myśleniem. Myślenie jest jego substancją, w której się urzeczywistnia, staje się sobą. Staje się sobą jako świadomość, a więc jako samoposiadanie siebie w refleksji. To postępujące urzeczywistnienie i samoposiadanie nazywa się — jako proces, jako życie rozumu — myśleniem, jako rezultat zaś nazywa się nauką, a ściślej filozofią. Tak posługujemy się tą nazwą: filozofia to określenie myślenia jako takiego, myślenia czystego, w którym rozum spełnia swą istotę. Rzeczywistość tego myślenia, jego legitymacja w sobie, we własnej substancji nazywa się prawdą. Jako taka prawda jest koniecznie prawdą jaźni, prawdą rozumu, a zarazem nie ma w sobie nic z dowolności, którą znamionuje przypadkowość sądu, zaprzeczająca samoposiadaniu się rozumu. Dlatego filozofia nie składa się z żadnych poglądów, opinii i mniemań, lecz ze świadectw myślenia, prawd, które urzeczywistniają rozum w tej mierze, w jakiej jest to w danym czasie możliwe. Tak sprawy się mają całkiem apodyktycznie, choć może to się komuś nie podobać. Żadna ironia ani żadne wzruszanie ramionami nie zmieni czystego pojęcia filozofii, pojęcia rozumu, pojęcia istoty rozumnej i jej powołania do prawdy i cnoty. Można po prostu nie być filozofem, a nawet więcej niż można: na ogół się nim nie jest. Wszelako, gdy ktoś nim już jest, wyrzeka się swych opinii, swego zdania, swych skłonności, oddając swe siły umysłowe w służbę czystej spekulacji, czystego myślenia, w którym dojrzewa kształt pojęcia, kształt prawdy. Jeśli korzysta — jako filozof — z wolności dyskusji i równych praw należnych jej uczestnikom, to nie po to, aby wygzekwować uprawnienia do obrony osobistych interesów czy „własnej opinii” (jak w przypadku demokratycznych uprawnień obywatelskich), lecz po to jedynie, aby proste i naturalne środki bezpośredniej i równej wymiany myśli ułatwiły uwidocznienie się błędów — z jednej, i samej prawdy, z drugiej strony.

Nie będąc zwolennikiem takiego jak tu patosu, z tym większym zażenowaniem stwierdzam, że żadnej mniej emfaticznej formy wyrażania tych banałów w ciągu ostatnich dwustu lat nie dopracowaliśmy się, co najlepiej świadczy o tym, jak głęboki jest dziś regres ideałów i języka służącego do ich komunikowania. Śmieszność patosu (i groza patosu!) stała się pretekstem do żerowania na filozofii, polegającego na tym, że przytwierdzając się do jednego (możliwie łatwo zrozumiałego dla szerszej publiczności) ideału — np. praw człowieka czy niedyskryminacyjności — wyszydza się, mąci i koroduje wszystko wokół. Nie jest trudno nauczyć się obywać bez większości ważnych pojęć (jak prawda, rozumność, cnota, absolut) i zredukować swe zdolności rozumienia ich sensu do obszaru jednego z nich (np. wolności, solidarności czy czegokolwiek równie przyjemnego). Co więcej — każdy ma do tego zredukowania prawo (prawo do samoograniczenia umysłowego). Gorzej, gdy próbuje się stojąc na takim stanowisku uzurpować sobie jakieś prawa akademickie i przywileje zastrzeżone dla sług Prawdy (Jedynej i Absolutnej — żeby nie było wątpliwości co do zawartości tego pojęcia i paradygmatycz-

nych sposobów posługiwania się nim), do czego na razie jeszcze zobowiązują się pracownicy uniwersytetu przysięgą doktorską. Jeszcze gorzej, gdy lenistwo myślowe i nihilizm prowadzi do zanieczyszczania forum filozoficznego plebejską bułą i samowolą, wyrażającą się w ostentacyjnym manifestowaniu swego widzimisie („własnego zdania”, „własnych poglądów”, „własnych zwyczajów”). Po dnie tej degrengolady ścielą się narkotyczne opary, w których błędzą nieszczęśnicy wyobrażający sobie, że wszystko, co człowiek stworzył lub stworzy, jest jednako mądre, dobre, słuszne i godne szacunku (no, może z wyjątkiem nazizmu oraz tego artykułu).

### 3. Nie wolno uogólniać!

To tylko drobny przykład komunau, mającego służyć utrwalaniu uczciwości intelektualnej, wrażliwości na odstępstwa rzeczywistości od stereotypów, a służącego zazwyczaj napiętnowaniu niewygodnych i niestereotypowych wypowiedzi.

Prawie nie zdarzają się sytuacje, w których dziwaczny zakaz uogólniania byłby usprawiedliwiony. W grę wchodzi co najwyżej jakieś eksperymenty myślowe, w których oddalamy syntezy pojęciowe dla jak najpełniejszego uprzytomnienia sobie złożoności empirycznych względów, które winniśmy możliwie najszerszej w naszej pracy teoretycznej wziąć pod uwagę. Ale i wtedy mówimy raczej „nie śpieszmy się z uogólnieniami”. Nie śpieszmy się, ale i nie zapominajmy, że nic, ale to nic innego nie jest naszym celem poznawczym, jak pojęcie, ogólne pojęcie, teoretyczne ujęcie, zawsze ogólne i tylko dzięki temu będące czymś intelektualnym w ogóle, a więc i mogącym być prawdą (lub fałszem).

Nie ma potrzeby zatrzymywania się dłużej nad głupotą zakazu uogólniania, warto jednak uprzytomnić sobie przyczyny jego popularności. Jedną jest powszechna zła wiara — skłonność do udawania przed sobą i innymi, że nie rozumiemy się, że takie czy inne (nie odpowiadające nam) sądy, pomimo całkiem ogólnego i apodyktycznego sformułowania, z całą oczywistością dopuszczają wyjątki. Któż jest tak głupi, żeby sądzić, iż ten, kto powiada „Niemcy są narodem piwoszy” wyobraża sobie, że nie ma ani jednego Niemca, który wcale nie pije piwa? Ze złą wiarą nie ma co dyskutować — można nad nią ubolewać i ją napiętnować. Filozofa alarmować powinna natomiast druga przyczyna popularności owego *dictum* „nie wolno uogólniać”. Jest nią prosty brak wiedzy o tym, czym jest wiedza i czym jest pojęcie — że mianowicie wiedza jest teorią zbudowaną z pojęć i sądów ogólnych, pretendujących do ogólnej ważności. Cóż, żyjemy w czasach, w których mądrość oznacza przymioty starca opowiadającego zajmujące historie z przeszłości, cnota — integralność krocza jego wnuczki, a na przykład „uogólnianie” — bezczelność jego wnuka, narzucającego innym swoje zdanie.

### 4. Nikt nie ma monopolu na prawdę

Do tego dodać można jeszcze wyszydzenie Jednej Prawdy — takie są dziś sposoby napiętnowania nieskromności, nieliczenia się ze zdaniem innych czy śle-

pego dogmatyzmu. Aż dziw bierze, jak bezkarnie uchodzi powtarzanie podobnych sformułowań nawet w życiu uniwersyteckim i nawet wtedy, gdy nie ulega kwestii, iż chodzi o powiedzenie czegoś w rodzaju: „nie myśl, że tylko ty masz rację, ja też mam prawo mieć trochę racji”.

Oto nikt nie ma monopolu na prawdę. Właśnie tak. Prawda jest dobrem wspólnym wszystkich, którzy zdołali ją osiąść, a co więcej — winniśmy się nią dzielić z tymi, którzy jej jeszcze nie znają. Wszelako kolektyw tych, którzy prawdę poznali, dzierży absolutną i dyktatorską władzę, nic a nic ze słuszności nie pozostawiając tym, którzy sądzą fałszywie. W tym sensie znający prawdę mają na nią straszliwy, niewzruszony monopol, monopol gwarantowany przez zasady sprzeczności i wyłączonego środka, których nie da się zaszczekać, wyklaskać ani wygwizdać.

Wokół pojęcia prawdy narosło w ostatnim stuleciu chyba więcej nieporozumień niż w przeciągu całej dawniejszej historii filozofii. Owo nieszczęsne „nikt nie ma monopolu na prawdę” odzwierciedla niektóre z nich. Otóż bardzo słusznie zwraca się uwagę na to, że twierdzący coś uczeni oddają się pewnej praktyce społecznej i językowej, która rządzi się swoimi regułami i w którą pewne osoby angażują się, a inne nie. Podobnie i inne formy społecznej aktywności — np. religia czy produkowanie czegoś — mają swoje zasady oraz właściwe im kręgi zainteresowanych osób. Gra na fortepianie ma swoje reguły, handel fortepianami ma swoje reguły, muzykologia ma swoje reguły. Producent opłatków inaczej się o nich wypowiada niż ksiądz, a specjalista medycyny sądowej, odnajdujący ów pokarm w żołądku denata — jeszcze inaczej. I wszyscy mają swoje racje — i niech będzie, że w tym sensie „nikt z nich nie ma monopolu na prawdę”. Ale to wszystko nie ma nic wspólnego z uzasadnieniem dla wypowiedzi w rodzaju „nie ma jednej prawdy”, „co dla jednego jest prawdą, dla kogoś innego nią być nie musi”, „prawda nie jest ta sama dla wszystkich” itp. Te tezy są po prostu fałszywe, a słuszne (choć banalne) uwagi w rodzaju właśnie przytoczonych nie pozostają z nimi w żadnym logicznym (a co najwyżej emocjonalnym) związku.

Inne pospolite nieporozumienie dotyczy kwestii trwałości sformułowań językowych sądów prawdziwych. Jest oczywiste, że prawda metafizyki Arystotelesa znalazła sobie dojrzsze, bardziej trafne i pojemne sformułowanie w znacznie doskonalszym języku systemu Hegla. Jest też oczywiste, że ten ostatni nie ma już żadnych szans na to, że stanie się własnością publiczną nauki, a nie tylko żargonem nielicznych specjalistów. Bynajmniej nie znaczy to jednak, że Hegel odkrywa, iż to, co uchodziło za prawdę o naturze bytu wyrażoną w Arystotelesowskiej teorii substancji, przestało być prawdą albo nigdy nią nie było. Prawda ta została zachowana i przedstawiona wspólnie z inną, nie znaną Arystotelesowi, prawdą w logice Heglowskiej. Fakt, że żadne sformułowanie Arystotelesa nie jest już Heglowi w dosłownym brzmieniu potrzebne, nie oznacza, że ma on „swoją system, sprzeczny z Arystotelesowskim”. Sformułowania prawdy — nie tylko słowa, lecz i same pojęcia — zmieniają się, ale bez szkody dla prawdy. Gdy mówimy, że dwa razy dwa

zawsze będzie cztery, to wcale nie chodzi nam o to, że z pewnością zawsze wyrażenie to będzie poprawne i prawdziwe. Dwa razy dwa zawsze będzie cztery, nawet wtedy, gdy język polski nie będzie istniał lub zmieni się w ten sposób, że słowo „dwa” zacznie znaczyć to, co teraz „trzy”, a „cztery” to, co teraz „jeden”. Dwa razy dwa zawsze będzie cztery, bo prawda jest prawdą i niczym więcej ani mniej — przejrzystością dla siebie samowiednego rozumu, który kiedykolwiek będzie liczył, będzie też wiedział, że liczy i że liczy poprawnie.

Oczywiście, rezerwa w stosunku do własnych przypuszczeń, hipotetyczny tryb wypowiedzi w nauce, skromność i ostrożność, to wielkie zalety moralne uczzonego i godne pochwały przejawy roztropności. Nie można jednak zapominać, że hipoteza, to taki sąd, o którym przypuszcza się (wszelako nie mając pewności), że jest Absolutnie Prawdziwą Jedyną Prawdą. Hipoteza w znaczeniu „proponowanego ze świadomością tymczasowości najbliższego w danych warunkach prawdzie stanowiska” jest raczej „hipotezą hipotezy”, ale i tu zawarty jest przecież apel do Prawdy Ostatecznej. A to, że uprawia się naukę często bez wiary w trwały rezultat, w definitywną prawdę, to już zmartwienie uczonych, a nie moje. Trudno o trwały rezultat w warunkach nieustannej zależności od przygodności pozytywnego poznania empirycznego, gdy wyobrażamy sobie, że prawda to ma być jakaś własność wypowiedzi mówiących o tym, co widać (ciągi cyfr na ekranie komputera), i wyjaśniających, dlaczego widać to, a nie co innego. Jeśli uczonym uprzykrzona jest świadomość, że zanim usta otworzą, już mówią rzeczy przestarzałe, i świadomość, że wobec tego w ogóle już nie wiedzą o czym i po co mówią, to może w następnym kroku zrozumieją, że uprawianie metafizyki jest nieco bardziej efektywne poznawczo i, bagatela, parę tysięcy razy tańsze. Tyle, że z metafizyką nie wybierzemy się na Księżyc; ale czy to taka wielka strata?

## 5. De gustibus...

Prawda! Ale dlaczego prawda? Bo nie ma o czym dyskutować, skoro „gust” miałby znaczyć byle jaki sąd nie wyrobionego smaku. Gdyby miał znaczyć — przeciwnie — sąd smaku autentycznego, wyrobionego, to tematów do dyskusji przy każdej okazji oceny estetycznej byłoby aż nadto. Wie to dobrze ten, kto choć raz miał okazję przysłuchiwać się, jak o swych „gustach” dyskutują znawcy przedmiotu.

Gdy ktoś nie wie, że sądy estetyczne bywają apodyktyczne i oparte na doświadczeniowej i rozumowej konieczności uznania tego, co piękne, za piękne właśnie, to nie ma w tym wielkiego niebezpieczeństwa. Naraża się co najwyżej na śmieszność, broniąc przy pomocy tytułowego *dictum* swej ingorancji lub złego smaku („mnie się podoba taka muzyka, tobie inna, ja nic nie mam do ciebie, więc i ty zostaw mnie w spokoju”). Wszelako od anomii estetycznej tylko krok do rzeczywistej anomii lub agresywnej rewolty w zakresie uznania swych obowiązków i powinności. „Ja mam swoją moralność, ty masz swoją” albo „ja cię nie uczę, jak żyć, więc i ty mnie nie ucz”, albo „moralność jest wymysłem władzy,

służącym narzuceniu ludziom poczucia winy, gdy sprzeciwiają się narzuconemu przez nią porządkowi” itd. — wspólny mianownik tych buntowniczych sformułowań jest taki: „pilnuj swojego nosa!”. Arogancja i agresja czai się za pozornie cywilizowanymi (usłużnie legitymizowanymi przez niezawodną siostrę miłosierdzia cywilizacji XX wieku — hermeneutykę) roszczeniami do poszanowania wszelkich osobistych celów i przekonań jednostek oraz kultur i tradycji społeczności, jeśli tylko nie zagrażają one wojnę. Rzeczywiste obowiązki, powszechne prawa moralne, to w świecie pilnujących-każdy-swego-nosa zasługujące na bezwzględne zwalczanie uzurpacji, no, może z wyjątkiem tych paru pojęć moralnych, które trzeba zachować, aby podtrzymać pokój i niedyskryminacyjność niezbędną do cieszenia się przez każdego swoją „kulturą”, „stylem życia”, „preferencjami seksualnymi” i innymi „wyobrażeniami o dobru”, jak to się bodajże nazywa. Trzeba przecież swobód demokratycznych, aby każdy mógł robić co chce, źle czy dobrze. Jeszcze bardziej trzeba jednak do tego pieniędzy. Bo świat, w którym wszystko jest przyjemne — szpital, więzienie, klasztor, uniwersytet — świat, w którym każdy styl, każde miejsce, każdy wybór jest OK, w pewnej mierze da się ziszczyć, ale jedynie w warunkach wielkiego bogactwa materialnego. Drobną kryzys (brak na psychiatrę, brak na pensję profesora filozofii) spowodowałby nagle i zupełnie załamanie owego *anything-goes-world*, filmowej atrapy zbudowanej za prawdziwe pieniądze.

\* \* \*

*Please correct me, if I'm wrong*, ale odnoszę wrażenie (no, takie jest przynajmniej moje zdanie), że gdy ktoś nieustannie mówi „wydaje mi się”, „sądzę, że”, to niekoniecznie daje wyraz swej skromności, lecz czasem też chce dostarczyć sobie alibi, pozwalającego mu łatwo wycofać się z zajętego stanowiska (gdyby okazało się ono fałszywe albo z innego względu niekorzystne), a co gorsze czasem kamufluje w ten sposób swą skłonność do arbitralności. Bywa bowiem i tak, że konformizm idzie w parze z agresją — dotyczy to w szczególności takich przypadków, gdy ktoś zagraża całej społeczności konformistów chcąc pokazać tej społeczności całe jej zakłamanie. Wtedy łagodni i dobrotliwi, skromni i niepewni siebie oportuniści stają ramię w ramię do solidarnej obrony swego świata. Świata, w którym nie ma żadnej prawdy (gdyż wtedy ktoś nie miałby racji), w którym nie ma też żadnego fałszu (bo znów — ktoś, kto by go głosił, mógłby poczuć się dyskryminowany lub wykluczony). W tym świecie szczere pragnienie poznania najprawdziwszej prawdy, prawdy jak ją Pan Bóg stworzył, zastąpione jest przez „umiejętność nawiązywania kontaktów z innymi”, „umiejętność słuchania”, umiejętność wyrozumiałego kiwania głową i mówienia „I see”, „I like your point”, „I'm with you”, „Yeah”. Gdyby jednakże ktoś okazał się tak bezczelny, żeby powołać się na jakieś kompetencje albo — co gorsze — twierdził, że tylko on ma tu rację, to może spotkać go przykra niespodzianka.

Przed kilkoma laty prof. Józef Niżnik wybrał mnie, dając dowód zaufania, za które jestem do dziś bardzo wdzięczny, do roli opiekuna znanego filozofa amerykańskiego, Richarda Rorty'ego podczas jego pobytu w Krakowie. Tak naprawdę ludzie nie przyjeżdżają wcale do Krakowa (choć wielu krakowian ma takie złudzenia), lecz do Oświęcimia — najbardziej znanego miejsca w naszym kraju. Gdy więc szliśmy przez obóz-muzeum, Richard Rorty podzielił się ze mną i moim przyjacielem, Krzyszofem Guczalskim, będącym tam z nami, mądrą refleksją, którą chciałem tu na koniec przytoczyć. Otóż Rorty dał wyraz pewnego rodzaju ubolewaniu czy skonfundowaniu, że nigdy nie było mu dane otrzeć się o traumę wojny, teroru czy nędzy. Zauważył, że „dorasta” dziś, szczególnie w USA, pierwsze pokolenie ludzi, którzy jako starcy nie są w stanie podzielić się z młodymi doświadczeniem wojny i przestrzec ich przed jej okropieństwami. Nie są w stanie, bo wojny i jej następstw nie widzieli. Ten brak tak istotnego czynnika doświadczenia zbiorowego i zbiorowej pamięci utrwala i tak silną w naszych społeczeństwach tendencję do zatracania się poczucia rzeczywistości i ważności życia. Odniosłem wrażenie, że Richard Rorty z powodu tej „nienamagalności” naszego życia osobiście cierpi.

Po intelektualnej wojnie niemiecko-amerykańskiej, wojnie kantystów i heglistów z utylitarystami i pragmatystami, tak jak po wojnach światowych, między tymi krajami zapanowała zgoda; Habermas i Rorty są tak do siebie podobni, że nawet mogą się ze sobą spierać. A jednak ten transoceaniczny pokój opiera się na wyrzeczeniach — wyrzeczeniach, które dobrowolnie podjęli Amerykanie, a Niemcom narzucili jako warunki owego pokoju. Pospołu jednak stary pragmatysta ze starym hermeneutą — jeden dyskretnie, drugi bardziej jawnie — wzdychać będą do czasów, w których za prawdę chciało się umierać, wiara była wiarą na śmierć i życie, cnota niezłomną, a filozofia była żarliwą miłością wiedzy. I ja sobie westchnę: *mais où sont les neiges d'antan?*, gdzie są dawne czasy?

Wojciech Ślowski

### O podstawach filozofowania

Czytelnik przyzwyczajony do tego, że dzieła wielkich filozofów posiadają rozmiary, dzięki którym można je również w sensie dosłownym nazwać wielkimi, z ostrożnością i sceptycyzmem bierze do ręki publikacje o objętości tak niepokornej, że mogłyby one stanowić wstęp do wspomnianych „wielkich” dzieł filozoficznych. Nawyk poszukiwania wielkich idei w opasłych tomach może się jednak okazać zwodniczy, ponieważ coraz częściej zdarza się, że książki ważne, prace, o zasadniczym znaczeniu dla naszego spojrzenia na filozofię, z powodzeniem mieszczą się na 100 – 150 stronach. Odnieść można wręcz wrażenie, że